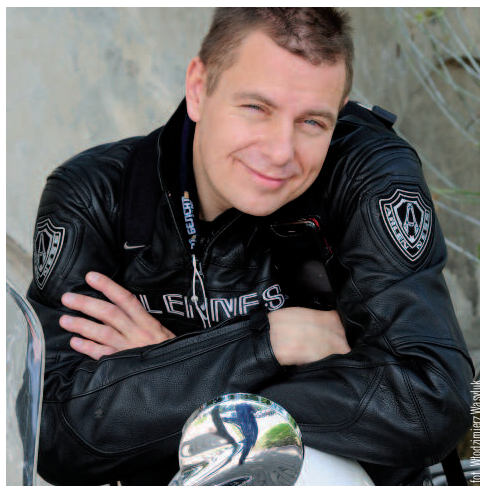


Pawłowicz:

Marketing, more & hardcore

Gie w parlamencie



Z okazji święta narodowego TVP przypomniała film Romana Polańskiego „Pianista”. Film wielowarstwowy, nieschematyczny i poruszający. Pośród wszystkich scen jedna wydaje się kwintesencją całości, symbolem ukazującym koszmarny, do jakiego prowadzi chora ideologia. Mówię o epizodzie, w którym kapitan armii niemieckiej, wycofujący się już ze zniszczonej

Warszawy, trafia na ukrywającego się Szpilmana. A właściwie na kogoś, kto kiedyś był Szpilmanem, albowiem człowiek, jakim jest wówczas tytułowy pianista, w niczym nie przypomina tego bohatera sprzed wojny. Wygląda on jak zaszczute zwierzę: brudny, zarosnięty i koszmarnie przerażony. Stanowi absolutne przeciwieństwo owego niemieckiego kapitana – dumnego i wyniosłego, nieprzyzwoicie eleganckiego, w nienagannie skrojonym mundurze przedstawiciela rasy panów. Ten, zdradzający niepowodzenie wykształcenie Aryjczyk, dowiaduje się od swojej potencjalnej ofiary, że ma przed sobą pianistę. Informacja o tyle ciekawa dla kapitana, że sam ma ambicje muzyczne. Zaprasza Szpilmana do fortepianu. I wtedy następuje coś niewiarygodnego: ta pozostatość człowieka, to zaszczute zwierzę, rozruszawszy zdrętwiałe, zziębnięte palce, zaczyna grać. Tu następuje niezwykle popis wirtuozerii Szpilmana, który dzięki grze odzyskuje całą swą godność. Kapitan to nie zwyczajny żołdat, który nie jest w stanie pojąć, z czym ma do czynienia. I to, co obserwujemy na twarzy Niemca słuchającego gry Szpilmana, patrzącego na kunszt, o którym wie, że choćby resztę życia poświęcił na ćwiczenie, nigdy takiego nie osiągnie – jest wyrazem mistrzostwa Polańskiego. To już nie jest łzawa scena z „Listy Schindlera”, kiedy główny bohater, przypomniawszy sobie o swojej złotej swastyce z diamentami, drżącym głosem mówi: „Zapomniałem – a za to mógłbym jeszcze ocalić jakieś życie”. Nie, to nie jest amerykańska topatologia filmowa. W tej krótkiej scenie

kapitan zaczyna rozumieć, czego tak naprawdę dokonał jego wielki naród. Oto on: dumny przedstawiciel aryjskiej rasy panów patrzy oniemiały na geniusz, którego sztuka powinna służyć ludziom, a który, właśnie przez tę rasę panów, jest sprowadzony do roli zaszczutego, bezbronno zwierzęcia. Dla kapitana olśnienie to jest przerażające. Odkrywa, że on, uważający samego siebie za wrażliwego człowieka, tak naprawdę przecież jest sprawcą tej nieprawdopodobnej powszechnej katastrofy moralnej, której koszmarny przykład ma właśnie przed sobą.

Genialna, porażająca scena, która zawsze odbiera mi dech.

Dlaczego tak szeroko o niej piszę? Ponieważ żałuję, że ten film jest jednak za mało znany. Żałuję, że choćby taki poseł na Gie, przedstawiciel (jeszcze?) PiS-u, nie odrobił lekcji i filmu nie widział. Żal, bo może, gdyby zobaczył, to by takich pierdół, jak ta o „końcu cywilizacji białego człowieka” nie opowiadał. A przynajmniej nie z trybuny sejmowej, narażając mnie i moich rodaków na zażenowanie.

Powstaje przy okazji kilka pytań: po pierwsze: czy gdyby poseł na Gie zobaczył ten film, zrozumiałby z niego cokolwiek? Co do tego mam pewne wątpliwości. Uspokaja mnie natomiast fakt, że na całym świecie, w rozmaitych parlamentach, zawsze jakiś poseł na Gie się znajdzie, więc może inni zrozumieją, że i u nas może się taki trafić.

Ale najważniejsze pytanie jest inne: czy sam PiS też wyjdzie z takiego założenia i uzna, że wobec tego poseł na Gie nadal może być w ich szeregach? Bo to będzie wyraźny znak. Dla mnie, dotąd – wbrew powszechnym modom – ciągle jeszcze sympatyzującym z niektórymi ideami PiS-u, pozostawienie w partii posta na Gie oznacza bardzo jednoznacznie i ostatecznie: ja jestem na NIE. ■

Bohdan Pawłowicz jest prezesem zarządu Aart Design, wykładowcą PR na Uniwersytecie Warszawskim, byłym dyrektorem generalnym IAA w Polsce